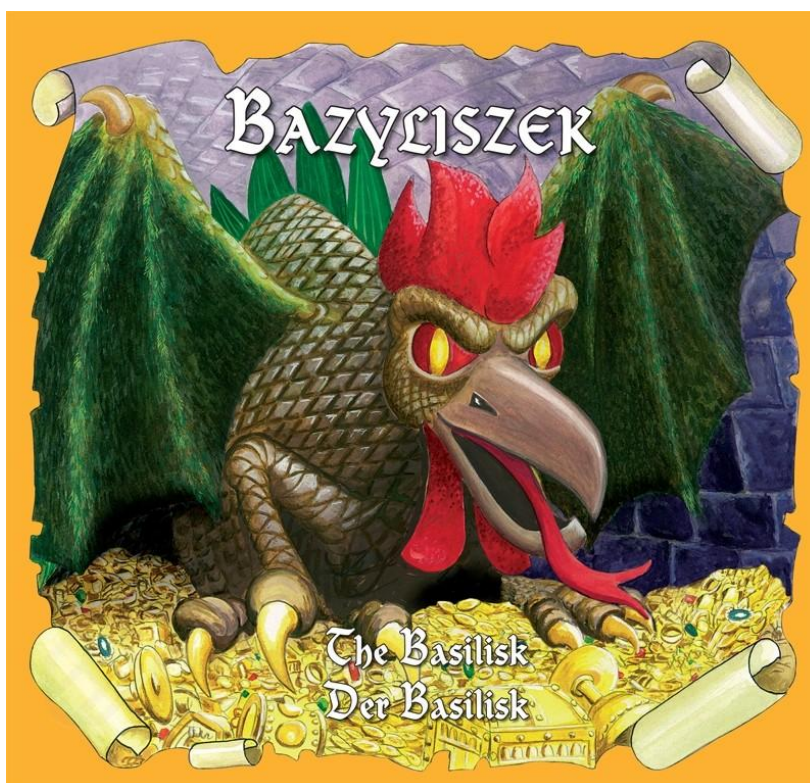


## Bazyliżek – legenda warszawska



Dawno, dawno temu, na jednej z uliczek starej Warszawy, mieszkał słynny płatnerz, mistrz Melchior. Miał on tu swój warsztat, w którym najprzedniejsi polscy rycerze kupowali ciężkie miecze i błyszczące zbroje. Na podwórzu przy warsztacie bawiły się czasem dzieci mistrza Melchiora, Halszka i Maciej. Dzieci przyglądały się pracy ojca i podziwiała orszaki rycerskie, zatrzymujące się przy domu. W dni targowe, kiedy do miasta licznie przybywali kupcy, rodzice pozwalali dzieciom wychodzić na rynek. Halszka i Maciek zachwycali się barwnymi kramami, pełnymi towarów z za mór, i występami cyrkowców, tresowanego niedźwiedzia czy małpki. Pewnego dnia mistrz Melchior powiedział:

- Możecie iść na rynek i obejrzeć tańce kuglarzy, ale nie zbliżajcie się do startej kamienicy na Krzywym Kole. Ludzie powiadają, że tam straszny.

- Dobrze, ojciec, nie pójdziemy tam – obiecał Maciek.

W tłumie ludzi na rynku dzieci spotkały Walek, znanego warszawskiego urwisa, który pędził, zdyszany, prosto na Krzywe Koło.

- Chodźcie ze mną – powiedział Walek – Dowiedziałem się, że w lochach starej kamienicy są nieprzebrane skarby.

- Nie, nie, ojciec nam zabronił – odrzekła Maciek.

- Ale jeśli znajdziemy skarb, wasz ojciec będzie bogaty! – przekonywał Walek tak, że w końcu Maciek i Halszka postanowili pójść razem z nim.

Do piwnicy pod starą kamienicą szło się po długich, krętych schodach. Było tam zimno i ciemno, Halszka zaczęła nawet popłakiwać ze strachu, ale w pewnej chwili Walek zawołał:

- Patrzcie! Na końcu korytarza coś błyszczy! To na pewno skarb!

Rzeczywiście! W ciemnościach piwnicy można było dostrzec jakieś światło. Halszka przestała płakać, a Walek ruszył przodem. I wtedy zza drewnianych wrót wypełził straszny potwór – ni to kogut, ni smok. Błękitne, zimne światło oczu bazyliżka padło na chłopca. Walek tylko krzyknął, zatoczył się i upadł martwy.

Maciek z Halszką przycupnęli za drzwiami. Żadne z dzieci nie miało odwagi poruszyć się ani spojrzeć w straszne ślepiec potwora. Wiedzieli, że czyha na nie śmiertelne niebezpieczeństwo. Sami nie wiedzieli, jak długo tkwili w ciemności. Z odrętwienia wyrwał ich dopiero głos niani Agaty:

- Halszko! Maćku! Odezwijcie się! Jesteście tu?

- Jesteśmy, nianiu Agato! – zawołała Halszka.

- No, na szczęście stróż Walenty widział was przed wejściem do lochów, dlatego trafiłam za wami – mówiła niania, drepcząc w świetle kaganka. Dobra Agata nie wiedziała, jak ogromne niebezpieczeństwo jej grozi, dopiero maciek chwycił ją na rąbek długiej spódnicy i pociągnął ku sobie.

- Nie idź dalej, nianiu! Ukryj się i nie patrz tam! – zawołał, ale nie zdążył, bo w tej chwili bazyliszek spojrzął na przerażoną Agatę. Biedna niania, porażona wzrokiem potwora, upadła nieprzytomna. Kagankę wypadł jej z ręki i zgasł.

- Już nikt nas nie uratuje! – zapłakała Halszka.

Maciek otoczył ją ramieniem, szepcząc:

- Nie płacz, bo bazyliszek usłyszy. Musimy tu czekać po cichu. Może ktoś nas uratuje...

Minęło kilka godzin. Mistrz Melchior był już bardzo zaniepokojony nieobecnością dzieci. Nigdzie też nie było widać niani Agaty, która udała się na rynek i przepadła.

- Gdzie też oni mogą być – zamartwiał się płatnerz.

- Nie ma na co czekać, tylko trzeba ich szukać.

Mistrz Melchior wraz z Zoną poszli na rynek i zaczęli pytać dobrych ludzi, czy nie widzieli ich dzieci. Ktoś wskazał palcem na Krzywe Koło, a przy starej kamienicy stróż Walenty ostrzegł ich:

- Nie schodźcie tam, mistrzu Melchiorze, bo i wam się nieszczęście przydarzy. Są tam wasze dzieci, jest i niania, ale jest też okropne straszdyło, którego nikt nie pokonał. Idźcie lepiej do ojca Bakalarusa. Mąż to uczony i w świecie obeznany. Znajdzie może jakąś dobrą radę w swoich księgach.

Mistrz Melchior aż pobladł na twarzy ze strachu o dzieci. Podziękował za radę i poszedł prosto do klasztoru, gdzie mieszkał ojciec Bakalarus. Uczony wysłuchał uważnie opowieści Melchiora, apotem sięgnął po księgę, w której pod wizerunkiem bazyliszka było napisane: „Bazyliszek zabija wzrokiem każdego, na kogo spojrzę. Kto ma dość odwagi, by pokazać bazyliszkowi lustro, ten uwolni miasto. Potwór, gdy zobaczy swe odbicie, sam siebie zabije wzrokiem.”

Mistrz Melchior pomyślał, że jest jeszcze jakaś nadzieja na uratowanie dzieci. A jeśli nawet nie żyją, to niech chociaż nikt inny w mieście nie czuje się zagrożony.

- Dajcie mi wielkie lustro, ojciec Bakalarusie – powiedział. – Jestem gotowy zejść do podziemi.

Ojciec Bakalarus pokiwał głową i poszedł do schowka, skąd przyniósł stare i zakurzone lustro. Mistrz Melchior oczyścił je, wziął pod pachę i czym prędzej ruszył na Krzywe Koło. Jego zapłakana żona biegła za nim. Kiedy zatrzymali się przy starej kamienicy, zobaczyli zbiegowisko mieszczan, czekających na dalszy ciąg wydarzeń. Mistrz Melchior wziął lustro przed siebie i odważnie zszedł do piwnicy. Szedł po stromych, krętych schodach, potem długim korytarzem, aż zobaczył z daleka błękitne światło. Wiedział, że to nie żadne skarby, lecz wielkie niebezpieczeństwo. Gdy mistrz Melchior zbliżył się do światła na tyle, że widział już kształty potwora, zasłonił się lustrem i zaczął hałasować. Bazyliszek zwabiony tupaniem i okrzykami, wypełził z kryjówki, spojrzął w lustro płonącym wzrokiem i tej chwili padł martwy, tuż u nóg mistrza Melchiora. A wtedy dzieci wyskoczyły ze swej kryjówki.

- Ojcie! Ojcie drogi! – wołały, a mistrz Melchior, płacząc ze szczęścia, mocno tulił je do siebie.

Kiedy wreszcie wyszli z podziemi, radości i powitaniom nie było końca. Matka zaprowadziła Halszkę i Maćka do domu, a tłum mieszczan długo jeszcze wiwatował na cześć odważnego mistrza Melchiora.

Marta Berowska, „Polskie legendy i podania”, Warszawa 2003r.